



BOLESŁAW LEŚMIAN

Rybak i geniusz

BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY SEZAMOWE

Rybak i geniusz¹

Był pewien rybak ubogi i pracowity. Miał żonę i czworo dzieci. Mieszkał w nędznej chacie i co dzień chodził na połów ryb nad morze. Zarzucał sieć tylko cztery razy dziennie, gdyż taki miał dziwny obyczaj.

Pewnego razu szedł z siecią na plecach w stronę morza i tak, idąc, śpiewał:

*Dziwny rybak ze mnie,
Żal się Panie Boże!
Cztery razy tylko
Sieć zarzucam w morze.*

*Cztery razy w morzu
Szczęścia chcę próbować,
Bo tylko do czterech
Potrafię rachować².*

*A teraz opowiem
Słońcu na błękicie,
Jak mego rachunku
Uczyłem się skrycie.*

*Jeden księżyc w niebie
Świeci na obłoku,
Drugi — na jeziorze,
Trzeci — w moim oku.*

*Więc razem trzy czynią:
Jeden — drugi — trzeci,
Liczę zaś do czterech,
Bo mam czworo dzieci!*

Jakiś wróbel, siedząc na drzewie, przysłuchiwał się uważnie piosence rybaka. Gdy rybak skończył, wróbel strzepnął ze skrzydeł rosę, otworzył dzióbek i odpowiedział:

Ptak

*Rybaku, rybaku,
Szczęścia tobie życzę!
Ty liczysz do czterech,
Ja do pięciu liczę.*

*Mógłbym wytłumaczyć
Matemu dziecięciu,*

¹Rybak i geniusz — pierwsza połowa baśni, której kontynuacją stanowi *Opowiadanie Króla Wysp Hebanowych*. [przypis edytorski]

²rachować — dziś raczej: liczyć. [przypis edytorski]

*Jak się nauczyłem
Rachować do pięciu.*

*Skrzydła moje pędzą
W cztery strony świata,
Bo po całym świecie
Każdy wróbel lata.*

*Więc mi liczba cztery
Wykreśla się cudnie
Na wschód i na zachód,
Północ i południe.*

*Cztery świata strony,
Cztery świata kąty,
Liczę zaś do pięciu,
Bo sam jestem piąty!*

Zdaje się, że rybak nie rozumiał tej piosenki wróbla, bo szedł dalej w milczeniu i nawet na wróbla nie spojrział. Tymczasem z dala już zabłękitniało morze, zaszumiały fale i powiał wiatr, zapachem morskiej wody przesycony.

Rybak stanął na brzegu i zarzucił sieć do wody. Po chwili wyciągnął ją, ale bardzo posmutniał, bo zamiast ryb ujrzał na dnie sieci piasek morski. Zarzucił więc sieć po raz wtóry i znowu wyciągnął, lecz nadaremnie, gdyż tym razem sieć nappełniła się tylko trawą morską.

Westchnął rybak i pogрузił sieć w morzu po raz trzeci, lecz znów na próżno, bo na dnie sieci tylko il³ morski osiadł.

— Nie szczęści mi się dzisiaj! — zawołał rybak. — Dzieci w domu na obiad czekają, a ja dotąd ani jednej ryby nie złowiłem! Już trzy razy sieć zarzuciłem, więc tylko raz jeszcze, ostatni raz mogę ją zarzucić! Jeśli i tym razem nic nie złowię, to trzeba będzie cały dzień głodować.

Rybak zarzucił sieć po raz czwarty i ostatni. Sieć pogрузiła się w morzu, a rybak, patrząc na nią, mówił:

— W morzu odbija się niebo, pełne słońca i obłoków. Sieć moja pogрузiła się nie tylko w morzu, lecz i w tym niebie, które się w wodzie odbiło. Bóg zaś przebywa wszędzie — i w niebie prawdziwym, i w niebie odbitym na fali, więc widzi moją sieć i ryby, które dookoła sieci krążą. Boże, który przebywasz w niebie, odbitym na fali, pobłogosław sieć moją i rozkaż rybom, aby się w sieci zgromadziły!

Rybak westchnął głęboko i chwycił za sieć, aby ją na brzeg wyciągnąć. Wówczas uczuł, że sieć jest ciężka, więc uradował się bardzo, sądząc, że złowione ryby tak ciężą.

Co prędzej wywlókł sieć na brzeg i zajrzał do jej wnętrza, lecz zamiast ryb zobaczył małą szkatułkę miedzianą. Wyjął natychmiast szkatułkę i począł się jej przyglądać.

Szkatulka była na głucho zamknięta i miała na sobie pieczęć ze znakiem sygnetu.

Rybak, zdjęty ciekawością, zerwał pieczęć, otworzył szkatułkę i zajrzał do wnętrza.

Na razie nic nie zobaczył. Szkatulka była pusta. Po chwili wszakże z wnętrza szkatułki zaczęła się dobywać mgła biała. Dobywała się coraz szybciej i coraz swobodniej, aż wreszcie przesłoniła całe morze. Rybak nigdy jeszcze nie widział tak gęstej mgły.

Mgła powoli zaczęła się układać w kształty ludzkie. Najpierw zjawiała się olbrzymia głowa, potem szyja i ramiona, potem ręce i tułów, wreszcie nogi. Wówczas rybak ujrzał przed sobą jakiegoś wielkoluda, który stał na brzegu, a był tak wysoki, że rybak musiał głowę zadrzeć do góry, aby mu w twarz spojrzeć. Był to jeden z Geniuszów, którzy są mocniejsi od zwyczajnych czarnoksiężników i zjawiają się bardzo rzadko — w najśmrotniejszych miejscowościach albo w najstraszniejszych bajkach. Rybak się zląkł, ale nie chciał pokazać, że jest tchórzem, więc uklonił się grzecznie i rzekł:

³il — miękka skała osadowa złożona z bardzo drobnych ziarenek, podobna do gliny. [przypis edytorski]

Głód

Bóg, Modlitwa

Tajemnica

— Dzień dobry! Jakże się spało na dnie szkatułki?

Geniusz odpowiedział głosem grzmiącym:

— Spałem na dnie szkatułki trzy wieki, to znaczy trzysta lat, i po raz pierwszy od lat trzystu oglądam ziemię.

— Właśnie na ziemi panuje w tej chwili wiosna — zawołał rybak — słońce świeci, ptaki śpiewają i drzewa się zielenią. Pewno na dnie morza, gdzieś tak długo leżał zamknięty w szkatule, nie ma ani ptaków, ani drzew, ani słońca?

Geniusz znów odrzekł głosem grzmiącym:

— Po raz pierwszy od lat trzechset patrzę na słońce, na drzewa i na ptaki, lecz ty, rybaku, patrzysz na te cuda po raz ostatni, gdyż dziś jeszcze za chwil kilka muszę cię uśmiercić!

— Za co? — spytał rybak. — Przecież ci nic złego nie uczynilem! Leżałeś zamknięty w szkatule na dnie morskim przez lat trzysta i leżałbyś nadal, gdybym cię nie wyratował. Zamiast mi się wywdzięczyć za ratunek, chcesz mnie zabić?

— Muszę cię zabić — rzekł Geniusz.

— Dlaczego musisz? — zawołał rybak.

— Nie pytaj mnie o nic, bo nie mam czasu na tłumaczenia — odpowiedział Geniusz. — Musisz umrzeć za chwil kilka. Przez wdzięczność za to, że mnie uratowałeś, pozwalam ci wybrać rodzaj śmierci. Mów mi więc szczerze, jaką śmierć wolisz: przez utopienie, przez powieszenie, przez uduszenie, przez otrucie czy też przez rozplatanie głowy mieczem?

Rybak zamyślił się i rzekł:

— Jeśli mam być szczerzy, wtedy wyznaję, że żadna z tych śmierci nie przypada mi do gustu. Nie chcę być ani wisielcem, ani topielcem, ani uduszonym, ani zarżniętym. Wolę żyć tak, jak żyłem dotąd — w nędzy i w biedzie, byle zawsze widzieć słońce i drzewa, i kwiaty.

— Nie nadużywaj mojej cierpliwości i nie marudź z wyborem tej lub innej śmierci — zawołał Geniusz. — Powtarzam ci: musisz umrzeć za chwil kilka, więc na próżno żałujesz słońca i drzew, i kwiatów.

Zafrasował się rybak bardzo, podrapał się w głowę i rzekł:

— Widzę, że śmierci nie uniknę, ale niech się dowiem przynajmniej, dlaczego i za co umieram? Przecież jestem twoim zbawcą, więc mam prawo żądać jakiegokolwiek wdzięczności. Nie wymagam od ciebie innej nagrody za ratunek, prócz tej tylko, abyś mi wytłumaczył przed śmiercią, czemu umrzeć muszę?

— Dobrze! — odpowiedział Geniusz. — Zrobię dla ciebie to ustępstwo i wytłumaczę ci przyczynę twojej nieuniknionej śmierci, gdyż widzę, że nie chcesz umrzeć bez wyjaśnienia owej tajemniczej przyczyny. Słuchaj więc mojej dziwnej opowieści!

— Słucham! — zawołał rybak, Geniusz zaś mówił dalej:

— Za dawnych czasów, za panowania króla Salomona, świat był zupełnie inny niż dzisiaj. Na drzewach rosły wówczas, zamiast owoców, wonne i tajemnicze książki w złotej oprawie, pełne cudownych malowideł i czarodziejskich bajek. Uczone ptaki w błękitnych okularach przewracały dziobami karty owych książek i przyglądając się malowidłom, na głos czytały po kolei rozmaite bajki. Jesienią książki te więdły, jak więdną liście, i z szelstem spadały na ziemię. Wówczas osły, koźły i barany zjadały powiędłe książki, nie wiedząc wcale o tym, że zjadają czarodziejskie bajki i cudowne malowidła.

W lasach mnóstwo było mądrych słoni, które, zamiast trąb, miały ruchome lunety i patrzyły przez te lunety w gwiazdy dalekie, aby z gwiazd wyczytać przyszłość ojczystego lasu.

Węże ówczesne nosiły złociste bransolety i pierścienie i umiały tańczyć przy świetle księżycy dzikie, zakłete, opętane tańce, dzwoniąc przy tym nadmiarem pierścieni i bransolet.

Koniki zaś polne i świerszcze przychodziły na świat z małym, prawie niewidzialnym krzesiwem w łapkach. Strzygąc łapkami, krzesiły co chwila na łąkach iskry błękitne i czerwone tak, że łąki całe iskrzyły się w nocy, a kwiaty ciekawie się przyglądały tym błękitnym i czerwonym iskrom.

W świecie tym panował mądry i potężny król Salomon. Przeczytał on wszystkie księgi, poznał wszystkie czary, nauczył się na pamięć wszystkich zaklęć. Rozumiał też język

Wiosna

Śmierć, Morderstwo

Zwierzęta

Taniec, Wąż

Buntownik

zwierząt i ptaków. Żaden król, żaden czarnoksiężnik nie mógł walczyć z królem Salomonem! Nawet Geniusze byli mu posłuszni i bali się jego gniewu.

Ja tylko jeden byłem zbyt hardy i dumny, aby się upokorzyć przed potęgą króla Salomona! Ja tylko jeden zbuntowałem się przeciw jego władzy i odmówiłem mu posłuszeństwa!

Nazywam się Sakar i jestem największy i najsilniejszy ze wszystkich Geniuszów świata. Nie chciałem więc służyć królowi Salomonowi, nie chciałem wykonywać jego rozkazów.

Dowiedział się o tym król Salomon i przysłał po mnie Assafa, ministra swego dworu. Assaf zaprowadził mnie przed tron Salomona.

Nie chciałem uklęknąć przed potężnym królem, tylko dumnie podniosłem głowę i rzekłem:

— Królu, jestem Geniuszem, który przyszedł na świat po to, aby panować. Żadną groźbą, żadnym zaklęciem nie zmusisz mnie do pokory i posłuszeństwa!

Wówczas król Salomon zmarszczył brwi i zawołał:

— Czyż nie wiesz o tym, że przeczytałem wszystkie księgi, że poznałem wszystkie czary i że się nauczyłem na pamięć wszystkich zaklęć? Nikt mi w potęgę nie dorówna i nikomu nie wolno odmawiać mi posłuszeństwa!

I król Salomon spojrział na mnie groźnie.

Roześmiałem mu się w oczy i odparłem:

— Zanim tyś na świat przyszedł — ja już od dawna istniałem na tym świecie! Zanim tyś zdążył przeczytać księgi, pełne tajemniczych baśni — ja już od dawna byłem bohaterem tych baśni! Czuję się większym i potężniejszym od ciebie i raz jeszcze powtarzam, że nie będę ci posłuszny!

Król Salomon tupnął gniewnie nogą o ziemię i rozkazał Assafowi, aby natychmiast przyniósł ze skarbca królewskiego szkatułę miedzianą.

Assaf przyniósł szkatułę. Król Salomon otworzył ją i wyszeptał jakieś dziwne niezbrane mi zaklęcie. Wówczas uczulem, że pod wpływem tego zaklęcia rozluźniam się i rozwiewam w mgłę białą.

Gdy się już cały w mgłę zamieniłem, król Salomon wdmuchnął mgłę do wnętrza szkatuły, zamknął pokrywę, położył na niej pieczęć czerwoną i odcisnął na pieczęci znak swego sygnetu, na którym było wyrzeźbione imię króla Salomona.

Robiłem w szkatule wysiłki, aby ją otworzyć — ale nadaremnie. Pieczęć z odcisniętym na niej imieniem króla Salomona okazała się mocniejszą ode mnie. Zrozumiałem, że nigdy nie potrafię złamać tej pieczęci i wydostać się z mego więzienia!

Król Salomon rozkazał Assafowi wrzucić szkatułę wraz ze mną do morza.

Assaf wrzucił. Szkatuła pogrążyła się w morzu i osiadła na dnie morskim.

Ogarnęła mnie rozpacz i przerażenie! Zrozumiałem, że tylko szczęśliwy przypadek może mnie uratować. Marzyłem na dnie morskim, że jakiś rybak zawadzi nieostrożnie siecią o miedzianą szkatułę i na brzeg ją wyciągnie, a potem przez ciekawość złamie pieczęć i otworzy, aby zajrzeć do wnętrza. Postanowiłem więc czekać cierpliwie na taki przypadek sto lat. Przynależało mi, że tego, kto mnie zbawi, uczynię najbogatszym na świecie człowiekiem.

Wszakże czekałem nadaremnie! Sto lat minęło, a nikt mnie nie uratował.

Wówczas postanowiłem czekać na dnie morskim drugie sto lat i przyrzekłem sobie, iż tego, kto mnie w drugim stuleciu uratuje, uczynię królem całego świata.

Lecz znów czekałem na próżno. Drugie sto lat minęło, a nikt mnie nie wyzwolił z mego więzienia!

Byłem jednak cierpliwy. Postanowiłem czekać trzecie sto lat i poprzysiągłem w duchu, iż tego, kto mnie w trzecim stuleciu wyratuje, uczynię najpotężniejszym na świecie czarownikiem.

I znów minęło sto lat — bez żadnych zmian, bez żadnego ratunku. Nastąpiło czwarte stulecie... Widząc, jak mi się na dnie morskim nieszczęście, straciłem wreszcie wszelką cierpliwość. Zawrzał we mnie gniew i nienawiść przeciwko wszystkim ludziom, co chodzą tam na brzegu, na powierzchni ziemi. I przysiągłem wówczas sobie, że tego, kto mnie teraz wybawi, uśmiercę natychmiast. Przez wdzięczność zaś za ratunek pozwolę mu tylko wybrać rodzaj śmierci.

Więzi

Właśnie w chwili, gdy wymówiłem tę przysięgę, sieć twoja, rybaku, zawadziła o szkatułę i wygarnęła ją z dna morskiego.

Dzięki tobie znów jestem wolny i znów widzę słońce, ptaki i drzewa. Przysięgi jednak złamać nie mogę. Sam to chyba dobrze rozumiesz, że przysięga Geniusza musi być spełniona. Nie marudź więc i nie zwlekaj. Wybierz rodzaj śmierci i umieraj w tym przekonaniu, że śmiercią swoją spełniłeś przysięgę Geniusza!

— Mój panie Geniuszu — odpowiedział rybak — opowieść twoja bardzo mnie zaciękała. Podobał mi się jej początek, ale wcale nie podobał mi się koniec. Nie rozumiem, czemu w końcu przysięgałeś, że pozbawisz życia swego zbawcę. Myślałem dotąd, że Geniusze są i mędrsi, i wdzięczniejsi, i nie składają tak lekkomyślnych przysięg.

— Rybaku! — zawołał Geniusz — okazuj mi więcej czci i szacunku! Nie nazywaj mnie „moim panem Geniuszem” i nie zarzucaj mi lekkomyślności. Jestem tak wielki, że ogarnąć mnie okiem nie możesz, a mimo to traktujesz mnie żartobliwie, jak równego sobie. Tylko tacy mali i zwyczajni ludzie, jak ty, lubią obchodzić się z Geniuszami poufale i niegrzecznie.

— Mój wielki panie Geniuszu! — zażartował znowu rybak. — Jakże mogę być grzeczny dla tego, który chce mnie zabić? Na domiar złego opowiadasz mi bajki, w które uwierzyć nie mogę. Twierdzisz, żeś to ty właśnie był ukryty w tej małej szkatułce, którą ja z dna morskiego wyłowilem. Ja zaś twierdę, że stanowczo jesteś za wielki, abyś mógł się w tej szkatułce pomieścić. Uważam więc wszystko, coś mi mówił, za kłamstwo. I w to, żeś sobie poprzysiągł zadać mi śmierć, też nie uwierzę dopóty, dopóki się nie przekonam naocznie, żeś to ty właśnie znajdował się we wnętrzu szkatułki. Wówczas dopiero chętnie się poddam twoim żądaniom i wybiorę rodzaj śmierci.

— O, niedowiarku! — zawołał Geniusz. — Tacy mali i zwyczajni ludzie, jak ty, nigdy nie ufają Geniuszom. Spójrz więc i naocznie się przekonaj, że mówiłem prawdę!

To rzekłszy, Geniusz rozluźnił się i rozwiął we mgłę białą. Mgła uniosła się nad brzegiem morskim i przesłoniła całe morze. Potem zaczęła się powoli zgęszczać i opadać falami na dno otwartej szkatuły.

Gdy już wszystka mgła zgromadziła się w szkatule, rybak usłyszał głos Geniusza, wychodzący ze szkatuły:

— Podejdź bliżej, niedowiarku, i przekonaj się teraz naocznie o prawdzie słów moich. Zobacz, czy się nie pomieściłem cały w tej szkatule miedzianej.

Rybak zbliżył się do szkatuły, zajrzał do jej wnętrza i zawołał:

— Widzę, żeś nie skłamał, mój mglisty panie Geniuszu. Twoja mglistość zaczyna mi się nawet bardzo podobać. Nie przypuszczałem, że z takiej mgły powstają tacy wielcy, jak ty, Geniusze.

— Przyjrzyj mi się uważnie — odpowiedział Geniusz z głębi szkatuły — ażebyś potem znów nie zaczął wątpić w moje zdolności rozwiewania się w mgłę i gromadzenia się w tej małej szkatule.

— Przyglądam ci się uważnie i dziwuję się niezmiernie — rzekł rybak, nagłym ruchem zatrzasnął pokrywę szkatuły i natychmiast przyłożył czerwoną pieczęć z odcisniętym na niej znakiem sygnetu Salomonowego.

Geniusz niespokojnie poruszył się w szkatule i zrobił wysiłek, aby ją otworzyć, ale na próżno. Już był uwięziony i nie mógł złamać potężnej pieczęci króla Salomona!

— O, przebiegły rybaku! — Oszukałeś mnie tak, jak ludzie zwyczajni oszukują Geniusza, który im zaufał! Otwórz szkatułę, gdyż w przeciwnym razie rzucę na ciebie przekleństwo!

— Nie otworzę szkatuły — odpowiedział rybak. — Chciałeś mnie zabić, więc słusznie cię ukarałem. Pozostań na zawsze mgłą, zamkniętą w szkatule. Wrzucę cię z powrotem do morza i postawię w tym miejscu na brzegu słup z napisem: Strzeżcie się miedzianej szkatułki, w której ukrywa się Geniusz. Wszyscy rybacy przez wieki całe będą czytali ten napis i jeżeli ich sieć wygarnie z morza przypadkiem twoją szkatułę, wrzucą ją z powrotem do wody, ostrzeżeni moim napisem. Aż do końca świata będziesz leżał na dnie morskim samotny, beznadziejny i mglisty. O jednego Geniusza mniej będzie na powierzchni ziemi, a o jedną szkatułę więcej na dnie morskim.

Przysięga

Podstęp, Kara

— Rybaku! — zawołał Geniusz. — Nie czyn tego! Kocham ziemię i chcę na ziemi przebywać. Jeśli nie chcesz otworzyć szkatuły, zdejmij przynajmniej pieczęć króla Salomona, gdyż brzemień tej pieczęci dławi mnie i dusi.

— Nie głupim⁴! — odrzekł rybak. — Wiem, że pieczęć Salomonowa potężniejsza jest od ciebie. Gdybym zdjął pieczęć, sam byś potrafił otworzyć szkatułę i zabiłbyś mnie natychmiast. My, ludzie zwyczajni, wymagamy wdzięczności i nagrody za nasze usługi, ty zaś zamiast wdzięczności i nagrody za to, że cię uratowałem, chciałeś mnie pozbawić życia.

— Pozwoliłem ci za to wybrać rodzaj śmierci — rzekł Geniusz.

— Kpisz ze mnie chyba — zawołał rybak. — Nie wiem, jak dla was, Geniuszów, ale dla mnie, człowieka zwyczajnego każdy rodzaj śmierci jest równie straszną karą. Nie rozumiem wcale twego postępowania ze mną. Jesteś dla mnie niezrozumiały, mglisty i muszę cię ukarać za twoją niewdzięczność, mglistość, niezrozumiałość i za to, że masz uczucia niepodobne do moich. Gdybym był takim, jak ty, Geniuszem, potrafiłbym wynagrodzić takiego, jak ja, rybaka, który ma czworo dzieci i żonę, i w pocie czoła musi na chleb czarny zarabiać.

— Rybaku! — zawołał Geniusz. — Otwórz szkatułę, a przysięgam ci, że uczynię cię człowiekiem bogatym.

— Nie ufam twoim przysięgom! — odpowiedział rybak.

— Niedowiarku! Znów mi nie ufasz! — rzekł Geniusz. — Wiedz o tym, że Geniusze spełniają swe przysięgi i dotrzymują swego słowa.

— Przysięgnij mi na potężne imię króla Salomona, że nie pozbawisz mnie życia, lecz uczynisz człowiekiem bogatym — wówczas ci uwierzę.

— Przysięgam ci na króla Salomona! — zawołał Geniusz.

Rybak zdjął pieczęć i otworzył szkatułę.

Z wnętrza szkatuły natychmiast zaczęła się wydobywać mgła biała. Mgła przesłoniła wkrótce całe morze, a potem powoli ułożyła się w kształt ludzki — i rybak znów ujrzał przed sobą olbrzymią postać Geniusza.

Geniusz pośpiesznie strącił nogą do morza miedzianą szkatułę. Szkatuła z pluskiem wpadła do wody i utonęła.

— Toń, podła szkatuło! — zawołał Geniusz. — Nikt już odtąd nie potrafi uwięzić mnie w twym wnętrzu!

Te słowa Geniusza i nagle zniknięcie w morzu szkatuły przeraziły rybaka. Ukląkł, cały drżący, i szepnął:

— Geniuszu, przebacz mi moją przebiegłość i chęć ukarania ciebie. Pamiętaj, żeś przysiągł na króla Salomona, iż nie pozbawisz mnie życia, ale uczynisz człowiekiem bogatym.

— Niedowiarku! — rzekł Geniusz. — Znów mi nie ufasz! Widzę, żeś po to tylko na świat się narodził, aby nie ufać Geniuszom... Nie wolno mi łamać swych przysiąg. Muszę je spełniać dokładnie i sumiennie. Nie bój się! Nie zabiję ciebie, lecz przysporzę ci bogactw, o jakich nigdy nie śniłeś. Słuchaj mnie tylko uważnie i zapamiętaj każde słowo. Idź brzegiem morza dopóty, dopóki nie dojdiesz do różowej skały. Wówczas skreć na prawo i znów idź dopóty, dopóki nie ujrysz czterech wielkich wzgórz, na których rosną drzewa hebanowe. Pomędzy tymi wzgórzami znajduje się jezioro. Zarzuć sieć do tego jeziora, ryby zaś, które tam złowisz, zanieś swemu sultanowi. Oto wszystko, co mogę ci powiedzieć. Pamiętaj, że wolno ci tylko raz na dzień sieć zarzucać. Jeżeli zarzucisz dwa razy, czeka cię śmierć nieunikniona. A teraz żegnaj na zawsze! Odlatuję ku słońcu, aby w jego promieniach wyzlócić skrzydła, które tak długo na dnie morskim leżały bez ruchu.

I rybak nagle ujrzał, jak na plecach Geniusza wyrosły dwa olbrzymie skrzydła. Geniusz poruszył skrzydłami i, szumiąc, uniósł się w powietrze ku słońcu.

Długo patrzył rybak w odlatającego Geniusza, aż wreszcie Geniusz znikł mu z oczu, pograżając się w oślepiającym blasku złotego słońca.

*

⁴nie głupim — dziś raczej: nie jestem głupi. [przypis edytorski]

Przysięga

Strach

Lot

Rybak niezwłocznie udał się w drogę, wskazaną przez Geniusza. Szedł brzegiem morza, aż doszedł do różowej skały. Wówczas skręcił na prawo i szedł znowu tak długo aż doszedł do czterech wzgórz, na których rosły drzewa hebanowe.

Pomiędzy wzgórzami zobaczył jezioro olbrzymie i tajemnicze.

Cztery wzgórza odbijały się w jeziorze wraz z hebanowymi drzewami. Woda tego jeziora była czarno-złota. Na samym środku jeziora kwitły cztery lilie wodne, każda innego koloru: jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś — żółta.

Jezioro było gładkie i nieruchome i falowało tylko w czterech miejscach pod czterema wzgórzami, tak że tylko cztery fale z lekka kołysały się na jego czarno-złotej powierzchni.

— Nigdy nie widziałem tak dziwnego jeziora! — pomyślał rybak. — Otaczają je cztery wzgórza, kołyszą na nim cztery fale i kwitną na samym jego środku cztery lilie, każda innego koloru. Woda zaś tego jeziora jest czarno-złota i tak piękna, że nie można od niej oczu oderwać. Gdyby nie to, że własnymi oczyma oglądam to dziwne jezioro, pomyślałbym, że jest ono bajką albo snem. Mam bowiem wrażenie, że mi tylko śnią się cztery wzgórza i śnią się cztery fale i śnią się cztery lilie, każda innego koloru. A nawet wydaje mi się, że śnię się sam sobie na brzegu czarno-złotego jeziora. Ponieważ jednak nie jest ono snem, lecz rzeczywistością, więc zarzucę sieć, bo jestem ciekawy, jakie ryby znajdują się w takim dziwnym jeziorze?

Rybak zarzucił sieć i po chwili na brzeg ją wyciągnął. Na dnie sieci trzepotały się cztery tylko ryby, każda innego koloru. Jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś żółta.

— Co za dziwy niezbadane! — zawołał rybak. — Te cztery złowione ryby przypominają liczbą i kolorem cztery lilie, kwitnące na środku czarno-złotego jeziora. Nigdy jeszcze nie widziałem ryb tak dziwnych! Chętnie bym raz jeszcze sieć w jezioro pogrążył, żeby więcej takich ryb złowić, ale nie uczynię tego. Pamiętam dobrze przestrożę Geniusza! Gdybym zarzucił sieć po raz drugi, spotkałaby mnie śmierć nieunikniona. Zaniosem więc te cztery ryby mojemu sułtanowi, gdyż tak mi Geniusz poradził.

Rybak raz jeszcze spojrzął na dziwne jezioro i począł szybkim krokiem oddalać się w stronę miasta — do pałacu sułtana.

*

W pałacu sułtana był właśnie ruch przedobiedni. Murzyni nakrywali do stołu, ustawiając na nim złote półmichy, srebrne tace, kryształowe puchary, solniczki, rzeźbione w ametyście, i pieprzniczki, kute w pniach koralowych.

Sułtan siedział tymczasem na balkonie, doktor zaś poił go co chwila wywarem ziółek gorzkich, które budzą apetyt.

Apetyt sułtana wzrastał pod wpływem tych ziółek, tak że w końcu sułtan kazał zawołać kucharza i, gdy kucharz stanął przed jego obliczem, przyklnął oczy, mlasnął kilkakrotnie językiem i rzekł:

— Powiedz mi, mój drogi kucharzu, co będzie dzisiaj na obiad?

Tłusty i brzuchaty kucharz skrzyżował ręce na piersiach, uchylił czoła i odpowiedział:

— Obiad dzisiejszy składa się z tysiąca potraw: na pierwsze danie przyrządziłem zupę z pelikanów, na drugie danie — pieczeń ze śledziona hipopotama, na trzecie — jajecznicę ze strusich jaj ze szczypiorkiem, na czwarte — pasztet z wątróbek łabędzich, na piąte — kolibry z różna.

— Zaczekaj! — przerwał sułtan. — Wszystkie potrawy, któreś wymienił, nie bardzo mi przypadają do smaku. Mam dzisiaj przede wszystkim apetyt na ryby. Powiedz mi w takim razie od razu, jakie ryby podasz do stołu?

Kucharz zbladł, zachwiał się na nogach i głosem drżącym wyszeptał:

— Żadnych ryb dzisiaj nie przyrządziłem. Wszakże nie moja to wina, tylko nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Na całym bowiem targu nie było ani jednej ryby. Podobno i w morzu i w rzekach panuje teraz chwilowe bezrybie. Wszystkich rybaków ogarnęła rozpacz, gdyż daremnie zarzucają sieci, wyczekując jakiegokolwiek połowu.

Sułtan smutnie zwiesił głowę i rzekł:

— Widzę, żeś rzeczywiście nie zawinił, więc nie mogę cię ukarać za nieobecność ryb na dzisiejszym obiedzie. Zażyłem ziółek gorzkich i apetyt mój wzrasta. Jest to wszakże

Woda

Przyroda nieożywiona

Sen

Czary, Tajemnica

Jedzenie

dziwny i osobliwy apetyt wyłącznie na ryby. Oddałbym pół królestwa za jedną małą rybkę, smażoną na świeżym, wonnym maśle!

Smutek sułtana był tak wielki, że i kucharz, i doktor trwali w uroczystym milczeniu, ażeby zbytecznym słówkiem nie urazić tego szczerego i głębokiego smutku.

W tej chwili właśnie wszedł wielki wezyr i oznajmił sułtanowi, że jakiś rybak pragnie stanąć przed jego obliczem.

Ucieszył się sułtan i rozkazał wezyrowi, aby natychmiast rybaka przyprowadził.

Wezyr wyszedł i po chwili wrócił z rybakiem.

— Co mi przynosisz? — spytał sułtan rybaka.

— Przynoszę ryby — odpowiedział rybak i podał sułtanowi cztery cudowne ryby, złowione w jeziorze czarno-złotym.

Sułtan obejrzał dokładnie i po kolei najpierw białą, potem czerwoną, potem niebieską, a w końcu żółtą. Wszyscy przyglądali się tym rybom cudownym, bo nigdy jeszcze takich ryb nie widzieli.

Dziwił się sułtan, dziwił się wezyr i kucharz, i doktor.

A gdy już wszyscy do syta się napatrzyli i nadziwili, sułtan dał rybakowi sto złotych dukatów i rzekł:

— Przynoś mi co dzień takie ryby, a co dzień dostaniesz sto dukatów.

Uradowany rybak pokłonił się w nogi sułtanowi i, ściskając w garści dukaty, pobiegł co tchu do swojej chałupy, gdzie na niego od dawna czekała żona i czworo dzieci.

Sułtan tymczasem rzekł do kucharza:

— Usmaż mi te ryby na świeżym, wonnym maśle i podaj je do stołu.

Kucharz pobiegł z rybami do kuchni i zabrał się do ich przyrządzania. Postawił na ogniu patelnię i rzucił na nią świeżego, wonnego masła. Gdy się masło dostatecznie zżłociło i zarumieniło, położył na nim wszystkie cztery ryby.

Ponieważ kucharz po raz pierwszy w życiu smażył takie ryby, więc był ciekawy, czy po usmażeniu zachowają swoje barwy — białą, żółtą, niebieską i czerwoną.

Gdy się już ryby na jednej stronie dostatecznie zarumieniły, kucharz chciał je na drugiej stronie odwrócić. Wszakże, zanim to uczynił, stał się cud, który mu w smażeniu ryb przeszkodził. Na ścianie kuchni zjawiła się nagle szczelina, niby błyskawica. Szczelina rozsunęła się i rozszerzyła w otwór głęboki i ciemny. Z otworu wyszła niespodzianie postać pięknej kobiety.

Zjawiona kobieta miała na sobie powłóczysty strój ze złotej tkaniny, haftowanej w kwiaty. W uszach jej błyskały kolczyki w kształcie wielkich półksiężyców. Na piersiach bielił się naszyjnik olbrzymich pereł. Nagie ramiona gęsto były przybrane w bransolety z brylantów, rubinów, szmaragdów i topazów. W ręku trzymała gałąź mirtową.

Nie spojrzawszy nawet na kucharza, podeszła wprost do patelni, na której smażyły się cudowne ryby z czarno-złotego jeziora. Dotknęła po kolei każdej ryby gałęzią mirtową i rzekła, wyraźnie i głośno wymawiając każde słowo:

— *Ryby żółte, ryby białe
I niebieskie i czerwone,
Czyli chcecie żyć na chwałę
Tego, co ma z róż koronę?*

Wówczas ryby podniosły w górę swe pyszczki i zawołały chórem:

*Choćby nas przez życie całe
Krwawy los na ogniu morzył,
Będziemy żyły wciąż na chwałę
Tylko tego, co nas stworzył!*

Wówczas tajemnicza pani, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwróciła ją nad ogniem tak, że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sama zaś cofnęła się do otworu w ścianie i znikła w jego ciemnej głębi. Ściana znów się zsunęła i zrosła tak, że żaden na niej znak nie pozostał.

Kucharz, osłupiały ze zdziwienia, z rozwartą na oścież gębą stał nieruchomo i tylko oczami mrugał co chwila.

Gdy przyszedł do siebie i rozumu nieco odzyskał, podbiegł natychmiast do ognia, aby widelcem ryby stamtąd powyciągać i choćby jedną z nich dla sułtana uratować — ale na próżno! Wszystkie już zamieniły się w popiół szary.

Kucharz dłonie załamał i zawołał:

— Co ja teraz pocznę, nieszczęśliwy! Sułtan mnie chyba zabije, nie dostawszy ryb na obiad! Nie uwierzy mi, gdy opowiem, co się stało? Pomyśli, że kłamię mu w oczy! Trudno bowiem uwierzyć w to, że jakaś tajemnicza pani wyszła nagle ze ściany kuchennej, aby spalić w ogniu ryby, które smażyłem na patelni! Pójdę do wielkiego wezyra i opowiem mu wszystko. Może wezyr wytłumaczy mnie jakoś przed sułtanem i obroni przed jego gniewem.

Poszedł więc kucharz do wezyra i opowiedział mu wszystko.

Zdziwił się bardzo wezyr i zamyślił głęboko. Potem głową pokiwał i rzekł:

— W dziwnych czasach żyjemy! Na każdym kroku albo cuda, albo dziwy, których nie można zrozumieć. Myślałem dotąd, że bajki są tylko w książkach, a teraz widzę, że zdarzają się i w życiu. Nie bój się gniewu sułtana, bo mu to jakoś wytłumaczę i postaram się go udobruchać. Nie powiem mu o tym, co się stało, bo nie chcę go przerażać i niepokoić. Sam tę sprawę zbadam. Rybak obiecał, że co dzień będzie nam owe ryby przynosił. Jutro więc sam będę obecny w kuchni przy ich smażeniu i naocznie sprawdzę cud, o którym mi dziś opowiedziałeś.

*

Nazajutrz rybak znów przyniósł do pałacu cztery ryby tych samych kolorów i dostał za nie sto dukatów.

Tym razem wezyr sam własnoręcznie położył je na patelni i zaczął smażyć.

Gdy się na jednym boku dostatecznie podsmażyły, chciał je na drugi bok odwrócić. Wszakże, zanim to uczynił, stał się cud, który mu w smażeniu ryb przeszkodził. W ścianie kuchennej zjawiała się nagle szczelina, niby błyskawica. Szczelina rozsunęła się i rozszerzyła w otwór głęboki i ciemny. Z otworu wyszła niespodzianie tajemnicza pani, ubrana tak, jak to kucharz dokładnie wezyrowi wczoraj opisał.

Nie spojrzawszy nawet na wezyra i na kucharza, tajemnicza pani, połyskując klejnotami i szeleszcząc wspaniałą szatą, zbliżyła się do patelni, na której smażyły się cudowne ryby z czarno-złotego jeziora. Dotknęła każdej ryby po kolei gałęzią mirtową i rzekła głośniejszym i wyraźniejszym głosem niż wczoraj:

— *Nie każda ryba jest rybą w fali,
Nie każda fala — falą w jeziorze!
Czy nie dość mocno ogień was pali?
Czyli wciąż trwacie w swoim uporze?*

Ryby podniosły w górę swe pyszczki i chórem odpowiedziały:

— *Jest czarno-złote kiedyś jezioro,
I cztery fale, każda — zaklęta,
I cztery wzgórze, i lili czuworo —
Więc po czterykroć bądź nam — przeklęta!*

Wówczas tajemnicza pani, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwróciła ją nad ogniem, tak że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sama zaś cofnęła się do otworu w ścianie i znikła w jego ciemnej głębi. Ściana znów się zsunęła i zrosła, tak że żaden na niej znak nie pozostał.

Wezyr, osłupiały ze zdziwienia, z rozszerzonymi na oścież oczami stał nieruchomo i patrzył na kucharza, kucharz zaś patrzył na wezyra. Przez czas długi milczeli obydwa. Wreszcie wezyr przerwał milczenie:

Tajemnica, Mądrość

— Pierwszy raz w życiu zdarza mi się oglądać w kuchni takie cuda! Co oznacza ta pani tajemnicza i te ryby czterech kolorów? I czemu dotyka ich gałęzią mirtową i zadaje dziwne, niezrozumiałe pytania? I dlaczego te ryby dają jej tak samo dziwną, niezrozumiałą odpowiedź? I z jakiej przyczyny tajemnicza pani na czarny węgiel spala tajemnicze ryby? Są to dla mnie zjawiska wprost niepojęte!

— Dla mnie także! — dodał kucharz. — Myślałem o tym noc całą, ale nie mogłem się domyślić.

— Nie dziwi mnie wcale, że nie mogłeś się domyślić, bo jesteś tylko kucharzem, — rzekł wezyr — ale dziwi mnie, że ja, choć jestem wielkim wezyrem — też nie mogę wpaść na żaden domysł. Nie chcę dłużej przed sułtanem ukrywać cudów, które zjawiają się w jego własnym pałacu. Zaraz mu wszystko opowiem, a być może, iż on osobiście łatwiej od nas zgadnie tajemnicę.

Wezyr natychmiast udał się do pokoju sułtana i opowiedział mu wszystko, co się stało w kuchni.

— Muszę te cuda na własne oczy zobaczyć! — zawołał rozciekawiony sułtan. — Nigdy jeszcze nic podobnego nie widziałem, ale mam nadzieję, że odgadnę tajemnicę tego niezwykłego zjawiska. Ponieważ rybak obiecał co dzień przynosić do pałacu owe cudowne ryby, więc i jutro przyniesie na pewno. Otóż zamkniemy się razem w moim pokoju i sami je usmażymy. Ciekawym, czy w mojej obecności tajemnicza pani ośmieli się wyjść z muru i spalić ryby, które sam własnoręcznie będę smażył.

Wezyr nic na to nie odpowiedział, tylko się zamyślił głęboko i z ciekawością zaczął wyczekiwać dnia jutrzejszego.

*

Nazajutrz rybak, jak zazwyczaj, przyniósł do pałacu cztery ryby czterech kolorów i otrzymał za nie sto złotych dukatów.

Sułtan i wezyr przygotowali w pokoju wszystko, co było potrzebne do smażenia ryb. Zamknęli drzwi na klucz i zaczęli smażyć cudowne ryby. Gdy się ryby na jednej stronie obsmażyły, sułtan własnoręcznie chciał je na drugą stronę odwrócić, lecz, zanim to uczynił, coś w pokoju zagrzmiało, ściana rozstała się nagle, ukazując wielki i ciemny otwór. Z otworu tym razem, zamiast tajemniczej pani, wyłonił się olbrzymi, potworny Murzyn z dębową gałęzią w rękę. Na głowie miał wieniec z róż. Oczy jego zdawały się martwe i ślepe. Krokiem sztywnym i ociężałym podszedł do ryb, dotknął ich po kolei dębową gałęzią i rzekł głosem głuchym, bezbarwnym i jednostajnym:

— *O ryby, ryby! W nocy i z rana
Śnią się wam dawne, człowiecze twarze!
Uznajcie we mnie bożka i pana
I czyńcie wszystko, co wam rozkażę!*

*Sto dni przeminie, a potem dwieście,
A potem — tysiąc i dwa tysiące —
Lecz nikt nie zgadnie, czym wy jesteście
I czym są cztery lilie kwitnące?*

Ryby podniosły swe pyszczki do góry i chórem odpowiedziały Murzynowi:

— *Choć w ogniu cztery spalą się baśnie,
Choć dola nasza w mroku ukryta —
Wiedz, zły potworze, iż teraz właśnie
Ktoś o nas bajkę cudowną czyta!*

*Czyta i czyta, aż wszystko zgadnie
I na ratunek ku nam pośpieszy,
A wówczas kara na ciebie spadnie,*

Cud, Czary, Tajemnica,
Szantaż

I śmierć twa wszystkie ryby ucieszy!

Potworny Murzyn, chwyciwszy gniewnie patelnię, odwrócił ją nad ogniem, tak że wszystkie ryby wpadły do ognia i spaliły się na węgiel czarny. Sam zaś cofnął się do otworu w ścianie i znikł w jego ciemnym wnętrzu. Ściana natychmiast zsunęła się i zrosła, tak że żaden na niej znak nie pozostał.

Sułtan, osłupiały ze zdziwienia, z podniesionymi wysoko brwiami stał nieruchomo i patrzył na wezyra. Wezyr zaś patrzył na sułtana. Przez czas długi milczeli obydwoj. Wreszcie sułtan ozwał się pierwszy:

— Domyślam się, że te ryby są zaklęte i czekają na kogoś, co by je uratował. Ciekawym bardzo, w jakiej rzece rybak je złowił? Poślij kogo po rybaka z moim rozkazem, aby natychmiast przyszedł do pałacu. Dowiem się od niego wielu rzeczy, które mi są potrzebne dla odgadnięcia tajemnicy.

Wezyr posłał kucharza z rozkazem, aby znalazł rybaka i przyprowadził do pałacu.

Kucharz dowiedział się w mieście, gdzie rybak mieszka; pobiegł ku niemu i natychmiast z nim razem wrócił do pałacu.

Rybak stanął przed obliczem sułtana, a sułtan zapytał:

— Gdzie łowisz te ryby cudowne, które co dzień przynosisz do pałacu?

— Łowię je w jeziorze czarno-złotym, na którym kołyszą się cztery fale i kwitną cztery lilie czterech kolorów.

— Czy daleko znajduje się to jezioro? — pytał dalej sułtan.

— Niedaleko! — odrzekł rybak. — Najwyżej trzy godziny drogi od pałacu.

— Naucz mnie, jak się idzie do tego jeziora — rzekł sułtan.

— Łatwo trafić do jeziora — odpowiedział rybak. — Idzie się ku niemu prosto brzegiem morza aż do różowej skały. Od skały skręca się na prawo i znów się idzie prosto aż do czterech wzgórz, na których rosną drzewa hebanowe. Pomiędzy wzgórzami leży to dziwne jezioro, pełne ryb białych, niebieskich, żółtych i czerwonych. Tylko raz dziennie wolno mi sieć zarzucić i za każdym razem tylko cztery ryby z jeziora wylawiam.

— Muszę zbadać tajemnicę czarno-złotego jeziora! — zawołał sułtan. — Dziś jeszcze wyruszę w drogę, bo niecierpliwość i ciekawość nie pozwala mi zwlekać nawet dnia jednego. Rozkaż, wielki wezyrze, moim rycerzom, aby siodłali rumaki i zgromadzili się przed moim pałacem. Nim wieczór nadejdzie — już będziemy w drodze!

Na rozkaz wezyra stu konnych rycerzy stanęło przed pałacem. Sułtan przypasał miecz i dosiadł białego rumaka. Po czym dał znak ręką, aby wyruszono w drogę.

Słońce jeszcze nie zaszło, lecz świeciło już ku wieczorowi.

Sułtan i wezyr jechali na przodzie, aby drogę stu rycerzom wskazywać.

Zbliżyli się wkrótce do morza i jechali prosto brzegiem morskim aż do skały różowej. Od skały skręcili na prawo i znów jechali prosto aż do czterech wzgórz, na których rosły drzewa hebanowe.

Wówczas sułtan kazał wezyrowi i stu rycerzom zatrzymać się pod jednym ze wzgórz hebanowych i rzekł:

— Tu, pod tym wzgórzem, rozepnijcie namioty i czekajcie na mnie, aż powrócę, gdyż chcę sam, bez nikogo, udać się dalej na zwiady. Miejsca zaklęte i zaczarowane powinno się zwiedzać samotnie, nie zaś w liczonym towarzystwie. Czytałem w życiu swoim dużo bajek, więc wiem, że tylko człowiek samotny potrafi zbliżyć się do tajemnicy. Żegnam cię, wielki wezyrze, i was, moi rycerze. Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy.

Wezyr chciał koniecznie towarzyszyć sułtanowi w tej niebezpiecznej wycieczce, ale sułtan nie zgodził się i rozkazał mu zostać razem ze stu rycerzami. Wezyr musiał rozkaz sułtana wykonać. Rycerze porozbijali namioty.

Sułtan zsiadł z konia i pieszo poszedł w stronę jeziora, bo wiedział, że jezioro znajduje się pomiędzy czterema wzgórzami. Sułtan przyśpieszył kroku i wkrótce stanął nad brzegiem dziwnego jeziora.

Cztery wzgórza odbijały się w jeziorze wraz z hebanowymi drzewami. Woda jeziora była czarno-złota. Na samym środku kwitły cztery lilie wodne, każda innego koloru: jedna — biała, druga — czerwona, trzecia — niebieska, czwarta zaś — żółta.

Tajemnica, Samotność,
Pożegnanie

Jeziro było gładkie i nieruchome i falowało tylko w czterech miejscach pod czterema wzgórzami, tak że tylko cztery fale z lekka kołysały się na jego czarno-złotej powierzchni.

Sułtan pochylił się ku czarno-złotej wodzie i ujrzał, iż roiła się od ryb białych, czerwonych, niebieskich i żółtych. Ryby, płynąc, spotykały się w wodzie i poruszały pyszczkami, jak gdyby szeptały sobie nawzajem jakieś tajemnice. Białe szeptały do czerwonych, czerwone do niebieskich, niebieskie do żółtych.

Długo sułtan przyglądał się czarno-złotej wodzie i kolorowym rybom, i czterem wzgórzom, i czterem falom, i czterem liliom na środku jeziora. Zachwycony widokiem tych cudów, nie mógł od nich oczu oderwać. Wreszcie z trudem wielkim oderwał oczy od zakłętej wody i poszedł dalej brzegiem jeziora aż do czwartego wzgórza.

Pod czwartym wzgórzem ujrzał ogród olbrzymi, gęsty i cudowny. Drzewa, obciążone owocami, rzucały długie cienie na szerokie trawniki. Kwiaty napelniały powietrze wonią upajającą. Śpiew ptaków rozlegał się w gęstwinie.

Sułtan zapuścił się w samą głąb tajemniczego ogrodu. Szedł długo wzdłuż palmowej alei, aż wreszcie natrafił na pałac z białego marmuru z wieżyczkami z kości słoniowej. Drzwi pałacu były otwarte.

— Czy wejść, czy nie wejść? — pomyślał sułtan i po krótkim namyśle wszedł do pałacu.

Pusto było w pałacu. Ani w pierwszej, ani w drugiej, ani w trzeciej komnacie nie spotkał sułtan nikogo. Więc zawołał:

— Hop-hop! Czy jest tu ktokolwiek!

Echo mu tylko odpowiedziało: „hop-hop?”

Sułtan poszedł dalej przez szereg komnat, których złote ściany pokryte były mnóstwem malowanych kwiatów, zwierząt i ptaków. Gdy minął sto komnat i wkroczył do sto pierwszej, usłyszał nagle czyjś jęki. Zatrzymał się i zaczął się tym jękom przysłuchiwać.

— O, losie niemiłosierny — mówiły jęki. — Czemuś mnie skazał na tak nieludzkie cierpienia! Wszak byłem niegdyś królem — dziś jestem na wpół tylko człowiekiem! Nie znałem dawniej bólu — dziś co dzień rany moje odnawiają się, aby krwią świeżą ociekać! Któryż to z ludzi znosił takie, jak ja, męczarnie? O jezioro czarno-złote, gdzież są twoje pałace? O ryby białe, czerwone, żółte i niebieskie, gdzież się podział wasz król, którego tak kochałyście za dawnych czasów? Znikąd nadziei, znikąd ratunku, znikąd pomocy!

Jęki nagle ucichły.

Sułtan, wzruszony słowami, które posłyszał, zwrócił się w stronę, skąd go jęki owe doleciały, i trafił do ogromnej komnaty o czarnych ścianach, na których wymalowane były ryby białe, czerwone, żółte i niebieskie.

Po środku komnaty stał czarny tron, a na tronie siedział młodzieniec w płaszczu gronostajowym. Twarz jego była tak blada i tak pełna cierpienia, że sułtan ze współczuciem zbliżył się do niego i rzekł:

— Nie lękaj się, bo jestem człowiekiem dobrym i nic złego ci nie życzę. Jęki twoje wzruszyły mnie do głębi serca, choć nie znam tajemniczego losu, który cię skazał na takie męczarnie. Jestem sułtanem i mam obszerne i bogate państwo. Może potęga moja potrafi złamać czary, które cię opętały.

— Przepraszam cię za to, że nie wstaję z tronu, aby cię powitać — odparł młodzieniec. — Nie mogę wszakże tego uczynić, gdyż tylko na wpół jestem człowiekiem.

I młodzieniec uchylił przed sułtanem gronostajowego płaszcza.

Wówczas sułtan ujrzał, że nieszczęśliwy młodzian do pasa jest tylko człowiekiem, a od pasa — czarnym marmurem.

— O sułtanie! — zawołał młodzieniec. — Po raz pierwszy od lat tyłu widzę człowieka, który przeniknął do wnętrza zakłętego pałacu i którego wzruszyły moje jęki. Nie wiem jednak, czy potrafisz zniszczyć czary, które mnie przykuły do tego tronu i trapią co dzień nieustannym smutkiem i cierpieniem!

— Biedny młodzieńcze! — zawołał sułtan. — Widziałem już cztery wzgórza, cztery lilie i cztery fale na czarno-złotym jeziorze; widziałem cztery gatunki ryb cudownych, a w pałacu moim zjawiała się tajemnicza pani i potworny Murzyn, który spalił na czarny węgiel ryby w chwili, kiedy je sam smażyłem na patelni. Widzę teraz twój pałac i ciebie

Ogród

Cierpienie

Czary, Ciało

samego, skamieniałego do połowy i narzekającego na los okrutny. Jestem pewien, że potrafię cię uratować, ale muszę najpierw dowiedzieć się od ciebie, co znaczą te wszystkie cuda i dziwy?

— Sułtanie! — odparł młodzieniec. — Historia mego życia jest tak dziwna, że trudno mi ją opowiedzieć w chwili, kiedy plecy moje pełne są ran, a serce — smutku i rozpacz!

— Nie bardzo to z mojej strony pięknie, że zaciekawiał mnie cudzy smutek i rozpacz — odpowiedział sułtan. — Nie mogę jednak powstrzymać się od prośby, abys mi opowiedział historię twego życia. —

— Opowiem ci ją — rzekł młodzieniec. — Ale jest to historia tak długa, że już się nie pomieści w tej bajce, która nosi tytuł: *RYBAK I GENIUSZ*. Musimy więc ją odłożyć do następnej bajki pt. *OPOWIADANIE KRÓLA WYSP HEBANOWYCH*. Tymczasem powiem ci tylko, że ja właśnie jestem królem Wysp Hebanowych.

— Dobrze — zgodził się sułtan. — Odłożymy historię twego życia do następnej bajki; ale pamiętaj, nieszczęśliwy młodzieńcze, abys mi ją opowiedział od początku do końca.

W tym miejscu sułtan zamilkł i czekał cierpliwie, aż się zacznie bajka następna.

Historia

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-sezamowe-rybak-i-geniusz>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, *Klechdy sezamowe*, Wydaw. J. Mortkowicza, Kraków, Warszawa 1913

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Justyna Lech, Marta Niedziałkowska.

Okładka na podstawie: Andrey Zeigarnik@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.